

Maurice Leblanc.

TAJEMNICZE DOKUMENTY.

3

(Ciąg dalszy).

Pan Lenormand tego dnia wydawał się jeszcze więcej zmęczonym, niż zwykle. Usiadł ruchem znużonym, rozsunął poły surduta, starego surduta, sławnego przedawnionym krojem i zielono oliwkowym kolorem; rozwiązał na szyi chustkę fularową, niemniej sławny brązowy fular; oparł się oburącz na łasce i szepnął:

— Mów!

Gourel opowiedział wszystko, co widział i wszystko, czego się dowiedział — pokrótce, zwyczajem wszczepionym weni przez szefa.

Gdy jednakże pokazał bilet Lupina, p. Lenormand zadrżał.

— Lupin! — zawołał.

— Tak Lupin — oto wypłynął znowu... ta bestya!

— Tem lepiej, tem lepiej — mruknął p. Lenormand po chwili zastanowienia.

— Oczywiście tem lepiej — powtórzył Gourel, lubił bowiem objaśniać rzadkie słowa zwierzchnika, któremu to jedno zarzucał, że był nadto małomównym. — Tem lepiej, bo będzie się pan mógł narzeczcie zmierzyc z godnym siebie przeciwnikiem. I Lupin znajdzie pogromcę... Lupin...

— Szukaj — wpadł mu w słowo p. Lenormand.

Brzmiało to, jak rozkaz myśliwca w stosunku do wyżła. I rzeczywiście Gourel na sposób dobrego psa, żywego, inteligentnego, badawczego, robił poszukiwania na oczach swego pana. Pan Lenormand końcem laski ukazywał mu to jakiś kąt, to jakiś fotel, jakby mu wskazywał krzak, lub kępę trawy — a Gourel przetrząsał krzak, czy też kępę z drobniawą sumiennoscą.

— Niema nic — oświadczył wkońcu.

— Nic dla ciebie — mruknął p. Lenormand.

— To właśnie chciałem powiedzieć... Ja wiem, że panu to same rzeczy mówią, jak ludzi, jak prawdziwi świadkowie. Mimo to, jest to bądź co bądź zbrodnia, którą zapisać należy na *conto* pana Lupina.

— Pierwsza — zauważył p. Lenormand.

— Pierwsza, to prawda... Ale to było nieuniknione. Kto prowadzi takie życie, ten prędzej czy później zmuszony bywa do zbrodni, choćby przez same okoliczności. Pan Kesselbach zapewne się broń...

— Nie, gdyż był przywiązany.

— To prawda — przyznał Gourel zmieszany — i to jest nawet wielce ciekawe... Dlaczego zabijać przeciwnika, który właściwie już nie istnieje? Ale mniejsza z tem; gdybym go był schwycił za kolarz, wczoraj, gdy stałem z nim twarz w twarz, na progu przedpokoju...

P. Lenormand wyszedł na balkon, następnie zwiędził pokój pana Kesselbacha na prawo, zbadał zamki u okien i drzwi.

— Okna obu tych pokoi były zamknięte, gdym wchodził — oświadczył Gourel.

— Zamknięte, czy przyknięte?

— Nikt ich nie tykał. A teraz są zamknięte.

Gwar głosów przyzywał ich z powrotem do salonu. Zastali tam lekarza sądowego, oglądającego zwłoki i sędziego śledczego, pana Formerie.

Pan Formerie wołał:

— Arsen Lupin! Rad jestem, że traf szczęśliwy stawia mnie znowu oko w oko z tym bandytą! Jeszcze mnie pozna ten łotr! A tym razem sprawa o morderstwo!... Ze mną masz do czynienia, panie Lupin!...

Pan Formerie nie ogłosił światu dziwnej przygody z dyademem księżnej Lamballe i tego, w jak nadzwyczajny sposób dał się Lupinowi wywieść w pole. Stało się to przed kilkoma laty i uwiecznione zostało w rocznikach sądowych. Smiano się z tego dotychczas, a pan Formerie dotąd pieścił w duszy marzenie o odwecie.

— Zbrodnia jest tu oczywista — wygłosił z przekonaniem — łatwo też nam będzie wyświełić motyw. A więc wszystko dobrze... witam pana, panie Lenormand i bardzo mi miło...

Panu Formerie wcale nie było „miło“. Obecność pana Lenormand wcale mu nie dogadzała, gdyż szef bezpieczeństwa nie ukrywał ani trochę lekceważenia, z jakim się do niego odnosił.

Mimo to wyprostował się i ciągnął uroczyście

— Więc pan, doktorze, uważasz, że śmierć nadwanoście godzin temu, a może i więcej...

ja to samo przypuszczam... jesteśmy więc najzupełniej zgodni... a narzędzie zbrodni?

— Nóż o bardzo cienkim ostrzu, panie sędzio śledczy — odpowiedział lekarz. — Widzi pan, oto tu próbowano ostrza na własnej chustce zmarłego...

— Prawda... prawda... ślad widoczny. A teraz wypytamy sekretarza i służącego pana Kesselbacha. Ani wątpli, że ich badanie dostarczy nam nowego światła.

Chapman, którego przeniesiono do jego własnego pokoju, na lewo od salonu i Edwards również, zdołali już tymczasem odpocząć po swoich przejściach. Chapman szczegółowo opowiedział wydarzenia dnia poprzedniego, rozmowę swoją z panem Kesselbachem, niepokoję bankiera, zapowiedzianą wizytę rzekomego „pułkownika“ i wreszcie napaść, której padli ofiarą.

— Ach! — zawołał pan Formerie — a więc jest i współnik, i pan słyszałeś, jak się nazywa... Marco, mówi pan? To bardzo ważne. Gdy będziemy mieć w ręku współnika, powiem, że zasłaliśmy daleko...

— Tak, ale nie mamy go w ręku — zauważył pan Lenormand.

— Zobaczmy — wszystko w swoim czasie... A więc, panie Chapman, ten Marco wyszedł zaraz po dzwonku pana Gourela?

— Tak jest, słyszeliśmy, że wychodził.

— A potem po jego wyjściu nie słyszeliście już nic więcej?

— Owszem... od czasu do czasu, ale nie dokładnie... drzwi były zamknięte.

— I jakie to były odgłosy?

— Słychać było, że ktoś mówi... Ta osobistość...

— Nazywaj go pan po nazwisku. Arsen Lupin.

— Arsen Lupin musiał telefonować.

— Doskonale! Wybadamy tę osobę w hotelu, która prowadzi połączenia z miastem. A później słyszał pan, że i on także wychodził?

— Przekonał się, czy wiemy nasze trzymają dobrze i w kwadrans później wyszedł, zamykając za sobą drzwi przedpokoju.

— Tak, skoro tylko dokonał zbrodni. Doskonale — doskonale — wszystko się wiąże. A potem?

— Potem już nic więcej nie słyszeliśmy... minęła noc... usnąłem ze zmęczenia... Edwards to samo... i dopiero dzisiaj rano...

— Tak, wiem... No, nieźle idzie... wszystko się wiąże...

I podkreślając etapy swego badania, jak gdyby podkreślał tyleż zwycięstw nad nieprzyjacielem, szepnął w zamyśleniu:

— Wspólnik... telefon... godzina zbrodni... odgłosy zastyszane... dobrze, bardzo dobrze... Pozostaje nam ustalić powody zbrodni... W tym wypadku, ponieważ chodzi o Lupina, powód jest jasny. Panie Lenormand, czy pan nie znalazł najmniejszego śladu włamania?

— Najmniejszego nie znalazłem.

— W takim razie kradzież została spełniona na samej osobie ofiary. Czy odnaleziono jego portfel?

— Zostawiłem go w kieszeni żakieta — rzekł Gourel.

Przeszli wszyscy do salonu, i tam się przekonali, że portfel zawierał tylko bilety wizytowe i papiery osobiste.

— To dziwaczne. Panie Chapman, może mógłbyś nam pan powiedzieć, czy pan Kesselbach miał przy sobie pieniądze?

— Tak jest; w wilię, to jest przedwczoraj, w poniedziałek, poszliśmy do Crédit Lyonnais, gdzie pan Kesselbach wynajął schowek ogniotrwały...

— Schowek w Crédit Lyonnais? Dobrze... trzeba będzie tam się zwrócić.

— I zanim wyszedł, pan Kesselbach otworzył sobie conto w banku i wziął pięć czy sześć tysięcy franków w banknotach.

— Bardzo dobrze... to nas objaśnia.

Chapman ciągnął dalej.

— Jest tu jeszcze inny punkt, panie sędzio śledczy. Pan Kesselbach, który od kilku dni bardzo był niespokojny — mówiłem panu, jaki był tego powód... pewien projekt, do którego przywiązywał nadzwyczajną wagę — otóż pan Kesselbach o dwie rzeczy dbał przede wszystkim; najpierw o hebanową szkatułkę i tę szkatułkę umieścił bezpiecznie w Crédit Lyonnais i o małą kopertę z czarnej skóry, w którą wkładał jakieś papiery.

— I cóż z tą kopertą?

— Przed przyjściem Lupina włożył ją w moich oczach do tej torby podróżnej.

Pan Formerie wziął torbę i przeszukał ją. Koperty w niej nie było.

Zatarł ręce.

— Dobrze... dobrze... wszystko się wiąże. Wie-

my, kto winien, wiemy, jakie były warunki i jaki powód zbrodni. To nie będzie długa sprawa. Nieprawdaż, zgadzamy się we wszystkim, panie Lenormand?

— W niczem.

Nastąpiła chwila zdumienia. Wszedł komisarz policyjny, a za nim, pomimo agentów, pilnujących drzwi, tłum dziennikarzy i osób z hotelu wdarł się i zalegał przedpokój.

Chociaż znana była szorstkość Lenormanda, szorstkość, która niekiedy graniczyła z niegrzecznością i którą tu nieraz zwierzchnie władze wytykały, jednakże ta szorstka odpowiedź zmieszała obecnych. A zwłaszcza pan Formerie oniemiał na razie.

— A jednak — rzekł — mnie się to wszystko bardzo prostem zdaje. Lupin jest tu złodziejem...

— Dlaczegoż miał zabijać? — rzucił pytanie pan Lenormand.

— Ażeby okraść.

— Przepraszam. Zeznanie świadków opiewa, że kradzież spełniona została przed morderstwem. Pana Kesselbacha najpierw zraniono i zakneblowano, a dopiero potem zamordowano. Dlaczegożby Lupin, który dotychczas nigdy nie popełnił zbrodni, miał zabijać człowieka bezbronno i już ograbionego przedtem?

Sędzia śledczy poglądził ręką długie blond faworyty, jak zwykle, gdy sprawa jakaś wydawała mu się nierozwiązalną. Odpowiedział w zamyśleniu:

— Można by na to dać różne odpowiedzi...

— Naprzykład?

— To zależy... to zależy od wielu czynników, jeszcze nieznanych... A zresztą zarzut odnosić się tylko może do istoty powodów. Co do reszty zgadzamy się przeciw.

— Bynajmniej.

I tym razem znowu brzmiało to jasno, ostro, prawie niegrzecznie, do tego stopnia, że sędzia, zupełnie rozbrojony, stał zmieszany wobec tego dziwnego współpracownika. Wkońcu wykrztusił:

— Každy ma swój system. Byłbym ciekaw poznać pański.

— Ja nie mam systemu.

Szef bezpieczeństwa powstał i przeszedł parę kroków przez salon, opierając się na łasce. Milczeli wszyscy dokoła niego... i ciekawem było widzieć, jak w gronie, w którym odgrywał ostatecznie tylko rolę pomocnika, podwładnego, ten starzec chuderlawy, zlamany, siłą powagi panował nad innymi; podlegał jej, nie uznając jej jeszcze.

Odezwał się po długim milczeniu:

— Chciałbym zobaczyć pokoje, które przytykają do tego apartamentu.

Dyrektor pokazał mu plan hotelu. Pokój na prawo, pokój pana Kesselbacha wychodził jedynie na przedpokój tegoż samego apartamentu; innego wyjścia nie miał.

Ale pokój sekretarza, na lewo, łączył się z innym pokojem.

— Obejrzymy ten pokój — rzekł.

Pan Formerie wzruszył ramionami i mruknął: — Ależ drzwi łączne zasunięte są na rygiel, a okno zamknięte.

— Obejrzymy ten pokój — powtórzył p. Lenormand.

Zaprowadzono go do tego pokoju; był to pierwszy z pięciu, zarezerwowanych dla pani Kesselbach. Następnie poprosił, żeby mu pokazano dalsze pokoje. Wszystkie drzwi łączne zamknięte były z obu stron na zasówki.

Rzucił pytanie.

— Czy żaden z tych pokoi nie jest zajęty?

— Żaden.

— A klucze?

— Klucze są zawsze w biurze zarządu.

— Więc zatem nikt wejść tutaj nie mógł!...

— Nikt, tylko garson z tego piętra, który ma obowiązek wietrzyć i ścierać kurze.

— Proszę go zawołać.

Służący, imieniem Gustaw Bedand, odpowiedział, że dnia poprzedniego, tak, jak brzmiało rozporządzenie, zamykał okna w tych pięciu pokojach.

— O której godzinie?

— O szóstej wieczór.

— I nie zauważyłeś czasem czego?

— Nie, nic.

— A dzisiaj rano?

— Dziś rano zamykałem okna, gdy właśnie ósma biła.

— I nic nie znalazłeś?

— Nie... nic... chociaż właściwie...

Wahał się. Zarzucono go pytaniami, tak że wkońcu przyznał.

— A więc prawda, znalazłem niedaleko kominka pod 420 papierosnicę... którą chciałem dziś wieczór odnieść do biura zarządu...

— Czy masz przy sobie tę papierosnicę?